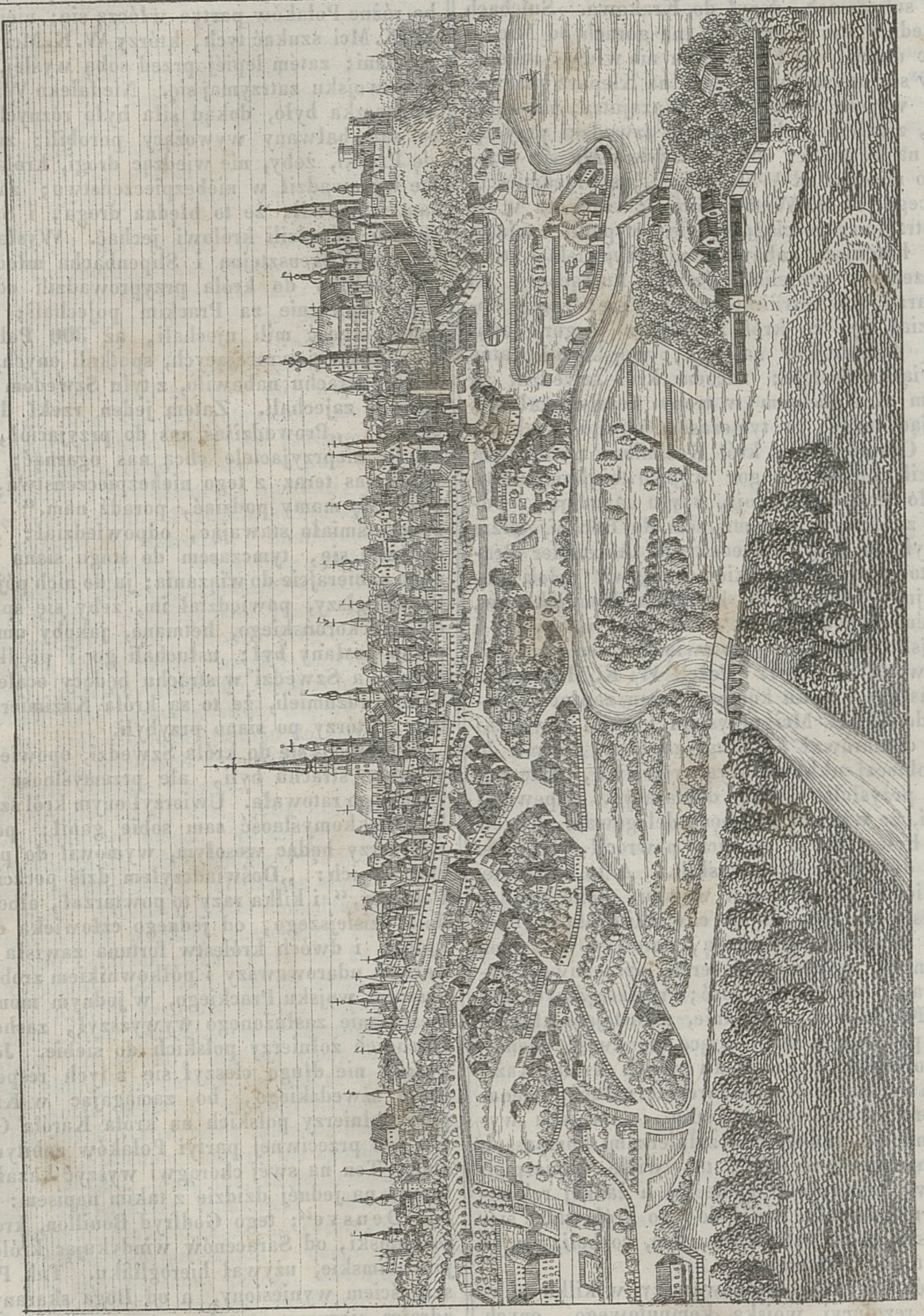
Przyjaciel Ludu.

Rok szósty. **No. 19.** **Leszno,** *dnia* 9. *Listopada* 1839.



Kraków w wieku siedmnastym.

Oblężenie Krakowa przez Szwedów w roku 1656.

(*Wyjątek z Pamiętników do panowania Jana Kaźimierza, których tom pierwszy w tych dniach z druku wyjdzie.*)

Karól Gustaw, król szwedzki, przy fortunnych sukcessach, dążył do Krakowa. Sulcbach z przednią strażą przybył; na górach od Michałowic ukazali się Szwedzi, a nie widząc nikogo, ktoby się onym opponował, na Kleparz przyszli i noc w polu przepędzili. Nazajutrz, niedziela była, z całém wojskiem król szwedzki przyciągnął na Promnik; wojsko uszykowało się przeciwko miastu; od Woli pałacu, na przedmieściu będącego, aż do Wisły, korpus; skrzydła w lewo strzelnicy rozciągnęły się; wypadli z miasta nasi, harcując, zabawiali nieprzyjaciela, który przeszedłszy popieliska jeszcze kurzące się na Kleparzu, na równinie lokował się; zatém dowiedział się, że król Kaźimierz w góry udał się i senatorowie za nim, wojsko niepłatne w związku zostaje; zaczém król szwedzki za królem Kaźimierzem w tropy rezelwował się, ścigając onego; a tymczasem miasto Kraków, kędy Czarnieckiego król Kaźimierz z wojskiem wsadził, niepokoiło go; wojsko też komputowe niedało Szwedom pokoju, z tyłu napadając. Poszedł za królem Kaźimierzem do Bochni, gdzie przybył do króla szwedzkiego Alexander Pracki, towarzysz huzarskiéj chorągwi, człek niespokojny; wstąpił do klasztoru Dominikanów, a potém niepodobawszy sobie tam, wystąpił, i w wojsku był okazyą do związku; ten Karólowi Gustawowi namienił: „Jeżeli W. K. Mość zaległe zasługi wojsku komputowemu zapłacisz, łatwie do W. K. Mci przystąpi.“ Król szwedzki zaraz deklarował i zasługi zapłacić, i coruk do tego obiecał akkomodacyą rycerstwu, byle posłów przysłali z taką deklaracyą. Upewniał Pracki, że wkrótce przybędą delegowani od wojska, bylem się ja do nich powrócił, bo mnie z tém do W. K. Mci wysłali. A tu wszędzie, tak między starszyzną w wojsku, jako między pospólstwem, jednostajnie chwalili króla szwedzkiego łaskawą protekcyą, niewypowiedzianą klemencyą, wspaniałość serca, szczęśliwe zwycięztwa i szczodrobliwość; nieszczęśliwe zaś króla Kaźimierza panowanie, nieustające kłótnie, jedna po drugiéj wzniecające nienawiść, pieniędzy żołnierskich przez dworskich króla Kaźimierza rozszarpanie, nadaremne usługi, nienagrodzone odwagi bez pożytku, w wojsku wyiskrzenie się, żadnéj nad żołnierzami kompassyi, ran zawinień, niewoli; tak wiele wycierpieli głodów, źimna, słót ponieśli, a żadnéj rekompensy nie doznali, lepiéj do tego króla udać się, który sam będąc żołnierzem, wie, co boli, i miał respekt nad żołnierzami.

Król szwedzki spróbowawszy w kilku okazyach rezolucyi wojska komputowego, onych estymował, a uwierzywszy, co Pracki powiedział, że posłów deklarowali komputowi przysłać, z radości sam przeciwko nich wyjechał we 200 koni, zostawiwszy swoje wojsko pod wśią Bieżanowem; od Szwedów wstrzymany trochę, którzy perswadować poczęli, żeby W. K. Mość nie wpadł w jakie niebezpieczeństwo, bo różne Polaków partye włóczą się; niepowaga W. K. Mci szukać tych, którzy W. K. Mci szukać powinni; zatém lepiéj przed sobą wyśléj, a sam przy wojsku zatrzymaj się. Niedaleko Wieliczki miasteczka było, dokąd siła było różnych dróg, co soli bałwany wywożący porobili; zmieszał się Pracki, żeby, nie wiedząc drogi, króla gdzie nie wprowadził w niebezpieczeństwo; zaczém i sam wymówił, że to błędna droga, i Szwedzi swemu odradzili królowi jechać. Wysłał tedy hrabię Witgensztejna i Slipenbacha młodszego, aby posłów do króla przyprowadzili od wojska. Spiesznie za Prackim pojechali; ledwo trzecią część mili ujechali, aż 300 Polaków, z podjazdu powracających, spotkali onych, a co więcéj strachu nabawiło, z tyłu Szwedom i Prackiemu zajechali. Zatém jeden rzekł do Prackiego: „Prowadziłeś nas do przyjaciół, a tu z tyłu nieprzyjaciele chcą nas ogarnąć; uprowadź nas teraz z tego niebezpieczeństwa, albo gdzie się mamy podziać, poradź nam.“ Na co Pracki śmiało stawając, odpowiedział: „„Nie trwóżcie się, tymczasem do stogu siana idźcie, i ono nabierajcie do wiązania; ja do nich pójdę.““ Przybiegłszy, powiedział im, żeby się spieszyli do Lanckorońskiego, hetmana, jakoby umyślnie po to posłany był; usłuchali go i prędko pobiegli, a Szwedzi w strachu będący ocaleli, bo Polacy rozumieli, że to są króla Kaźimierza ludzie, którzy po siano przybyli.

Powrócili się do króla Szwedzi, opowiedzieli, w jakim strachu byli, ale przemyślność onych Prackiego ratowała. Uwierzył onym król szwedzki i lekkomyślność sam sobie ganił; podczas wieczerzy będąc wesołym, wymówił do przyjaciół swoich: „Doświadczyłem dziś poczciwości Polaków,“ i kilka razy to powtarzał, albowiem dnia dzisiejszego, od jednego człowieka dwóch królów i dwóch królestw fortuna zawisła była. Zaczém udarowawszy i półkownikiem zrobiwszy w swém wojsku Prackiego, w jednym momencie niesłusznie zasłużonego wywyższył, zachęcając i drugich żołnierzy polskich do siebie. Jednak Pracki nie długo cieszył się z tych respektów króla szwedzkiego, bo zaciągając w Krosnie połk żołnierzy polskich na króla Karóla Gustawa, od przeciwnéj partyi Polaków zabitym został. Ten na swéj chorągwi wyszyć kazał trzy wrony na jednéj dzidzie z takim napisem: „Casus Deusve“; tego Godfryd Bouillon, król jerozolimski, od Saracenów windykując królestwo jerozolimskie, używał hieroglifiku. Tak Pracki szczęściem wyniesiony, a od Boga skarany, że zdrajcą ojczyzny został.

Król szwedzki, Karól, odważywszy się na wszystko, żadnych niebezpieczeństw nie zważał; Każimierza króla ścigając, podstąpił pod Wiśnicz, zamek Lubomirskiego, w którym zamku była szlachta i 200 piechoty nawojowieńskiéj; kilka razy strzelili z zamkowych armat; lecz dowiedziawszy się, że sam król szwedzki osobą swoją podstąpił, przestali strzelać; król téż posłał trębacza, żeby mu się poddali, obiecując onym całość i bezpieczeństwo, inaczéj każe szturmować. Zdali się tedy królowi szwedzkiemu, których mile przyjął, puszczając echo łaskawości po sobie. Ztamtąd ruszył do Wojnicza, gdzie Lanckoroński, hetman polny koronny, z wojskiem komputowém stał, które pod jego kommendę poszło, związek na czas wstrzymawszy.

Wyprawił był hetman Modrzewskiego na podjazd z wyborném rycerstwem, aby się wywiedział, dokąd się król szwedzki z Wisznicza obróci, ale Modrzewski podczas poranku mglistego, spotkał się z przednią strażą szwedzką, dał wiedzieć wojsku o nadchodzących Szwedach, sam się ze Szwedami ucierał, aby wojsko tymczasem do boju się przygotowało. Zatrąbiono na trwogę; do koni co żywo przebierało się; zatém Szwedzi nadeszli, Polacy w pole wypadłszy, żwawie z Szwedami się spotkali, jako po ochocie rozweseleni. Przednią straż, Bretlach i Roza, półkownicy szwedzcy, kommenderowali; na tych Koniecpolski, wojewoda sandomierski, natarł śmiało; jednego, ugodziwszy szablą w łeb, z konia zwalił; drugiego Burzyński, towarzysz bardzo zręczny, ściął; drudzy drugich zabijali; i z naszych wiele padło, między którymi Szandarowski, grzeczny młodzian, zastrzelony. Tak przywitali nasi przednią straż wojska szwedzkiego, aż król szwedzki trąbiąc do marszu nadciągnął i rozproszonych zgromadził; nadesławszy sukursu wojska bitnego.

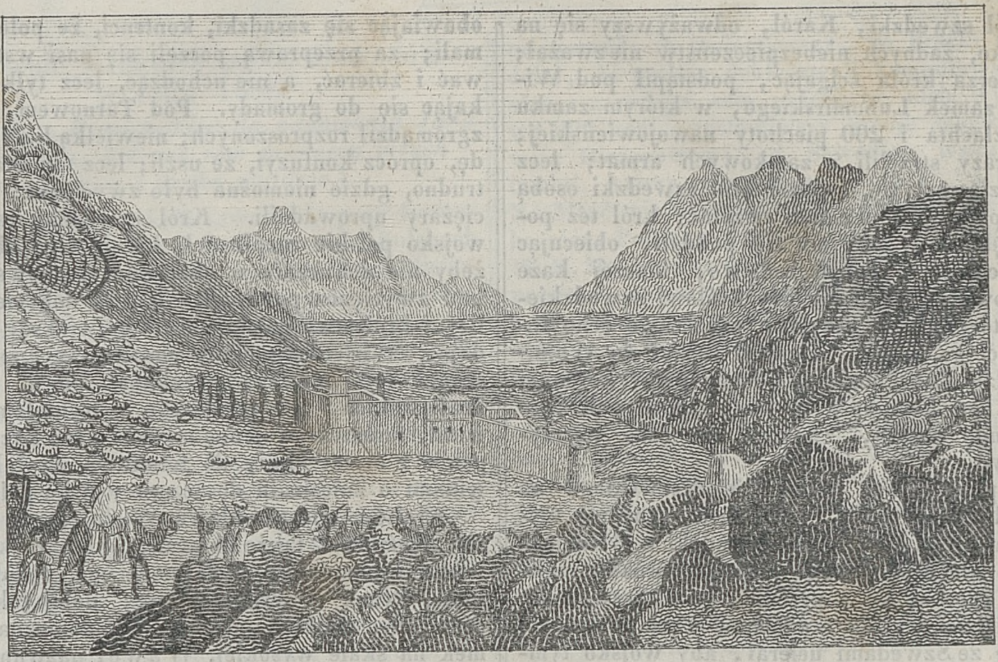
Nie spodziewali się nasi, żeby król szwedzki miał od Krakowa odejść i tu do polskiego wojska przyciągnąć; choć podjazdy chodziły, nic pewnego nie przynosiły; nie tracąc serca, śmiało się spotkali. Obaczyli króla szwedzkiego, szykującego liczne wojsko, zaszedłszy onym tył, że umykać Polakom ciężko było, ile że z armat dużo porażono. Zważyli, że nie mogą wytrzymać, wyprawili przodem wozy i ciężary, aby w Dunajcu rzece uchodzącym przeprawy nie zatrudniały. Zaczekali, nim się wozy umknęły; poczęły chorągwie umykać, a potém kto rączego miał konia, umykał, niemógł hetman i półkownicy onych wstrzymać; zaczém hetman opponując się Szwedom, ledwie nie zginął, bo go odstąpiło wojsko. Już, już, co go Szwedzi mieli wziąść. Przypadłszy Budziński i Kochowski, autor Kroniki, z odważniejszymi rycerzami, wydarli z rąk nieprzyjacielskich i onego uprowadzili; koń jego porażony poległ, ledwo mu drugiego poddali. Szwedzi téż niedaleko pędzili, obawiając się zasadzki, kontenci, że pole otrzymali; za przeprawą poczęli się nasi wstrzymywać i zbierać, a nie uchodząc, lecz tylko umykając się do gromady. Pod Tarnowem hetman zgromadził rozproszonych; niewielką liczyli szkodę, oprócz konfuzyi, że uszli; lecz tam stać było trudno, gdzie niemożna było zwyciężyć: wozy i ciężary uprowadzili. Król szwedzki rad, że wojsko polskie rozpłoszył, bo się tego obawiał, żeby nie dokuczało w oblężeniu Krakowa, dokąd zwycięzca powrócił. Tu za dobyciem stolicy i królestwa polskiego cel największy zakładając, Wirtenberg około porobiwszy approsze i szańce wysypawszy, przybliżał się do murów krakowskich, powracającego z tryumfem króla witał, wreszcie wojenne muzyki grać kazawszy, potém z armat bijąc, do Krakowa wysłał z nowinami o zniesieniu doszczętu wojska polskiego.

Kraków miasto oblewa Wisła, rozdwoiwszy się, Każimierz także obtacza; około rzeki pastwiska wyśmienite, a abrys miasta podobny do lutni, rynek w cyrkule mając; daléj jak szyja dwie ulice Ś. Jana, grodzka i kanoniczna. Zamek na skale wysokiéj, Wawel nazwanéj, dołem Wisła płynie, prospekt daleko z zamku, dwa mury około miasta, inszéj fortyfikacyi niema podług dawnego Polaków humoru, że onych wszystkie rycerstwa bitwy w otwartém polu.

Czarniecki, kasztelan kijowski, odważny i szczęśliwy żołnierz, był gubernatorem Krakowa; Fromhold Ludingansen, Wolff, półk. nad gwardyą króla Każimierza; Mikołaj Gnoiński, węgierskiéj piechoty województwa sandomierskiego był półkownikiem; 3,600 ludzi wojennych do obrony było. Mieszczan i akademików w Krakowie, dokąd i szlachta z województwa krakowskiego rejterowała się, było wiele: ochoczy i odważni do obrony mieszczanie, z armat, jako i z ręcznéj broni, strzelać przyuczeni dobrze.

Król szwedzki, choć ufał wojsku swemu, lecz widział, że siła stracić musi ludzi, szturmem dobywając Krakowa. Bardziéj gryzło go, że gdy do szturmu ordynuje wojsko, z pola tak wojsko rozpłoszone zebrawszy się, jako i szlachta, oraz król Każimierz z senatorami do Szląska umknąwszy, żeby z niemieckiemi sukkursami nie przybył, ordy także 20,000 jakoby miało przychodzić, wieść przyszła; przytém Czarniecki, stary żołnierz, odważny, szczęśliwy, nie rychło zda się go ani szturmami ustraszyć; na to wszystko nie zważając, na los fortuny się spuścił, która jako go z początku piastowała, gdyby tak do końca statecznie dźwigała należycie, niezwyciężonym monarchą był, ile że Boska protekcya, chcąca mieć w prasie i mizeryi tak ciężkiéj królestwo polskie, póki nie wypełnią wyroków jego Boskich, biedy narodu polskiego, dopuściła to prześladowanie Szwedów, dopomagając onego zamysłom.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Klasztór Przemienienia Pańskiego przy górze Synai. (*)

Dziesiąty dzień temu, jakeśmy opuścili Kairo; dziś po pierwszy raz ujrzałem z niewymowną radością wzniosły szczyt Synai; padłem natychmiast na oblicze, aby oddać hołd Temu, co w płomieniach zstąpił na ziemię, aby rozmawiać z domem Jakóba i głosić prawa swoje synom Izraela. (**) Uczuć, jakie przejmowały serce moje w owéj chwili, nie jestem Ci zdolny opisać kochany Przyjacielu. Sześć godzin drogi byliśmy oddaleni od celu podróży naszéj; i gdy niemożna było żadną miarą w dalszą puszczać się drogę, kazałem stanąć karawanie i rozbić namioty. Większą część nocy strawiłem na czytaniu drugiéj księgi Mojżesza, opisującéj miejsca, po którycheśmy stąpali. Podziwiałem ja zawsze opisy Mojżesza, czytałem je ze sto razy w życiu mojém, z tém zawsze przedsięwzięciem, aby się niemi jak najczęściéj jeszcze poić można; lecz niemyślałem nigdy, aby się one dla mnie stać miały kiedy źródłem takiéj roskoszy, jak w owéj szczęśliwéj nocy.

25. Marca, wraz ze dniem, wyruszyliśmy w dalszą drogę: wkrótce znikł nam Synai z oczu, pokazując nam tylko niekiedy śnieżną swą głowę, wśród otaczających ją skalistych szczytów. Beduini, w towarzystwie naszém będący, mówili nam o bliższéj drodze, prowadzącéj do klasztoru. Puściliśmy się nią; byłto wąwóz pomiędzy urwiskami skał, co chwila grożącemi upadkiem. Po dwugodzinnym pochodzie i niezmierném znużeniu, stanęliśmy nareszcie na dość rozległéj dolinie, zewsząd pasmem gór otoczonéj. Tutaj leży w środku sławny ów klasztór Przemienienia Pańskiego, błędnie od wielu podróżników klasztorem Świętéj Katarzyny nazywany. Zdala zdawał się nam być twierdzą jaką obronną. Zbliżywszy się do murów (5420 stóp nad powierzchnią morza wznoszących się), spostrzegliśmy w nich otwór na 40 stóp od ziemi, a w nim kilku zakonników, witających nas i spuszczających nam do krążka przymocowaną linę, do którejśmy papiery nasze, legitymujące nas, przytwierdzili. Po przejrzeniu ich, spuszczono znowu na drodze téj kosz, do któregośmy kolejno wstępując, podróż tę powietrzną odbywać musieli. Jest wprawdzie w murach klasztornych fórtka do wejścia, lecz ta zamurowaną jest zawsze, otwieraną bowiem tylko bywa, gdy Patryarcha konstantynopolitański miejsce to święte zwiedza. Przyjęto nas z największą uprzejmością; przełożony klasztoru, szanowny starzec, z braterską miłością przywitał mnie, i do przeznaczonéj celi, przydając jednego z braci za nieodstępnego towarzysza, który włoski język posiadał, odprowadził. Gdy zadzwoniono na wieczerzę, udałem się do refektarza, gdzie nam skromną, lecz zdrową dano strawę, z oświadczeniem, iż od dnia jutrzejszego, ponieważ podług greckiego kalendarza, post wielki swój brał początek, nie w towarzystwie braci, lecz sam jadać będę musiał. Żądałem pościć z innymi, lecz niepozwolono mi, wystawiając, jak potrzebnym jest posilniejszy pokarm, przy tylu trudach podróży i niewygodach. Na co chętnie

(*) Z podróży X. Fr. hrab. de Geramb, którego życiopis późniéj Czytelnikom łaskawym podamy.

(**) Ex. XIX. 3 n.

zezwoliłem, przekonawszy się po krótkim w klasztorze wypoczynku, jak podróż ta mnie osłabiła.

Klasztór ten jest jakby osadą, otoczoną zewsząd wysokimi granitowemi murami. Wśród murów tych spostrzegasz kilkanaście budowli, w rozmaitym kształcie i w różnych czasach wystawionych; wyjąwszy kościół sam, wszędzie widzisz ubóstwo, lecz odznaczające się wzorową czystością. Co zaś jest największém Opatrzności dla miejsca tego dobrodziejstwem, to jest wielka obfitość wody; albowiem, oprócz licznych źródeł, znajduje się tu głęboka i przedziwnéj wody dostarczająca studnia, a jak podanie głosi, jest tą samą, przy któréj Mojżesz spotkał córy Jetrona. (*) Sam klasztór założony został r. 527. przez cesarza Justyniana; pokazują tu miejsce, co przed 140 laty służyło Katolikom za świątynię, dziś jest w ręku schizmatyków, usiłujących podstępami swemi, wszystkie miejsca święte sobie przywłaszczyć. — Drugiego dnia pobytu mego w klasztorze, udałem się z przydanym mi towarzyszem do kościoła. Podziwiałem jego wspaniałą budowę: podzielony jest na trzy nawy; niebieskie, złotemi gwiazdami okryte podniebienie, wznosi się na dwóch rzędach granitowych kolumn różnego, najwięcéj koryntskiego porządku. Mury świątyni i posadzka jest z białego i czarnego włoskiego marmuru. Wszystko nosi cechę odległéj starożytności.

Mnóstwo złotych i srebrnych lamp, zawieszonych u podniebienia na bogatych łańcuchach, oświecało ciemny nieco kościół. Ściany zdobią liczne, w przepyszne ramy oprawne, lecz pod względem sztuki nie wielce cenione, obrazy. Ztąd udałem się do kaplicy, nazwanéj kaplicą *gorejącego krzaka*.

„Mojżesz,“ mówi pismo święte (**), „pasł owce Jethro, świekra swego, kapłana medijańskiego: a gdy zagnał trzodę w głębokość puszczy, przyszedł do góry Bożéj Horeb. I ukazał mu się Pan w płomieniu ognistym z pośrodku krza: i widział, iż kierz gorzał, a niezgorzał. I rzekł Mojżesz: pójdę, a oglądam widzenie to wielkie, czemu nie zgore ten kierz. A widząc Pan, iż szedł patrzyć, zawołał go z pośrodku krza, i rzekł: Mojżeszu, Mojżeszu. Który odpowiedział: owom ja. A On do niego: nieprzystępuj sam i rozzuj bóty z nóg twoich, miejsce bowiem, na którém stoisz, ziemia święta jest. I rzekł: Jam jest Bóg ojca twego, Bóg Abrahama, Bóg Izaaka i Bóg Jakuba. Zakrył Mojżesz oblicze swe: bo nie śmiał patrzeć naprzeciw Bogu. Któremu rzekł Pan: widziałem utrapienie ludu mego w Egipcie, i słyszałem krzyk jego dla surowości tych, którzy są przełożeni nad robotami. A wiedząc boleść jego, zstąpiłem, abym go wyzwolił z rąk Egipcyan, i wywiódł z ziemi onéj, do ziemi dobréj i postronnéj: ale pójdź, a poślę cię do Faraona, abyś wywiódł lud mój, syny Izraelowe, z Egiptu.“ Właśnie w tém miejscu, gdzie Bóg z Mojżeszem rozmawiał, jest podług podania, wybudowaną kaplica, pamiątkę zdarzenia tego najpóźniejszym pokoleniom przekazywać przeznaczona. Bosemi nogami wstępuje się do niéj: w środku stoi wspaniały marmurowy ołtarz, a pod nim znajduje się miejsce święte. — Pococke twierdzi mylnie, pisząc, iż zakonnicy w ogrodzie klasztornym krzak cierniowy pokazują, wydając go za ten sam, z którego Jehova z prorokiem swoim rozmawiał.

Na drugi dzień zwiedziłem kaplicę Ś. Katarzyny, w któréj ciało téj świętéj w bogatéj spoczywa trumnie. Z kaplicy téj zaprowadzono mnie podziemnym chodnikiem do ogrodu klasztornego. Tutaj przekonałem się naocznie, co pracowitość ludzi może: kawał nieurodzajnéj i piaszczystéj ziemi, uprawianéj w pocie czoła, wydaje owoce najpiękniejsze i dostarcza warzywa nie tylko zakonnikom, ale i pokoleniom pustyń okolicznych. Wszystkie gatunki drzew owocowych, wino nawet, znajdziesz tutaj w obfitości. Zakonnicy chętnie dzielą się tém, co im daje Opatrzność, z przychodzącymi do nich po zasiłek ludźmi: nikt nieodchodzi bez wspomożenia i daru. Około murów klasztoru mieszka z pięćdziesiąt rodzin arabskich, pod namiotami, zostających jakoby w służbie zakonników. Obowiązkiem ich jest dawać podróżnym wielbłądy i dostarczać potrzeb różnych dla gości, przybywających zwiedzać ustronie to święte.

Następnego dnia zwiedziłem książnicę klasztoru, dość liczną, pomimo tego, że wielokrotnie przez Arabów i Turków zrabowaną była; mnóstwo zawiera w sobie rękopismów, a pomiędzy nimi kopią rozkazu proroka Mahomeda do wszystkich Chrześcian. Oryginał listu tego, kuficznym charakterem na koziéj skórze pisanego, znajduje się w skarbcu sułtana. Był on aż do roku 1517. własnością biblioteki klasztoru Przemienienia Pańskiego; Selim I. wziął go z niéj, po zdobyciu przez siebie Egiptu, zostawiwszy dziś znajdującą się kopią. P. Mauchon umieścił w swojém dziele o Egipcie wierne tłumaczenie dokumentu tego. Pokazywano mi tutaj książkę, do któréj zwiedzający miejsca te wpisują nazwiska swoje; przebiegłem ją z ciekawością, lecz przekonałem się, iż od dawnego czasu, nie wiele odwiedzin miała góra Synai; pomiędzy wędrownikami lat ostatnich najwięcéj było Anglików i Niemców.

(*) Exod. II. 15 n. (**) Exod. III. 1—10.

Trybunał lubelski.

(Ciąg dalszy.)

Pan Bartłomiéj odezwał się: „Nie źle byłoby siąść na tym kamieniu pod cieniem, i napić się piwka.“ — „Dobrze mówisz; poczekaj-

że na mnie, a ja pójdę do gospody i każę go wynieść.“ Przy gospodzie zastałem kilkunastu młodzieży, do palestry należącéj, jakem wnosił z ich ponsowych lubelskich kontuszów. Ja im się ukłonił, oni mnie, i wszedłem do szynku. Żyd poszedł do lodowni natoczyć garniec świeżego piwa, a ja na niego czekając, czytałem po oknach i ścianach różne popisane koncepta. Gdy Żyd wrócił z piwem, poszliśmy do lip: widzę pana Bartłomieja, siedzącego na kamieniu, jakem go zostawił, a przy nim ci wszyscy panowie, których znalazłem na przyźbie przed karczmą. Stali koło niego, a on na nich poglądał jak gap'. Jużem poznał, że to będą nieprzelewki; przybliżyłem się do niego, a on mnie mazgaja minę zrobiwszy: „Panie Sewerynie, dobrodzieju! cóś ci panowie mówią koroniaszowskim językiem; powiedz panie, czego oni chcą ode mnie?“ — A jeden z ponsowych panów: „Waćpanowie może nie wiecie, że tu się kończy jurysdykcya trybunalska; to jest palestry młyn, oto kamień, a my kołem. Kto się tego kamienia dotyka, musi ztąd wyjść albo mąką, albo krupami. Waćpanów dwóch: powiedźcie, którego mamy zmleć, a którego skrupić?“ — Ja im na to: „Moi panowie, jam już za stary, abyście ze mnie żartowali, a Bóg świadek, że jutro do kommunii przystępuję. Powtóre, będąc tu w interessie księcia Radziwiłła, wojewody wileńskiego, w którego orszaku przybyłem, nie mogę sobą rozrządzać przed końcem jego sprawy. A oto jest pan Chodźko, sędzia ziemski upitski, dworzanin JO. księcia wojewody. Bądźcie więc łaskawi panowie, puśćcie nas z Bogiem.“ — Między nimi był, jakem się późniéj dowiedział, dependent pana Koźmiana, nazwiskiem Czarkowski, z bracławskiego, który wiedział, że jego mecenas chodzi około interessów księcia. Ten się odezwał: „Panowie koledzy, to jest umocowany księcia, ja za nim proszę, ile że on się nie dotknął naszego kamienia; ale pana sędzica upitskiego, co tu na tym kamieniu siedzi, b ę d z i e m y m l e ć b e z c e r e m o n i i.“ — „A czyście mnie ze swego spichrza wynieśli, żebyście mnie mleć mieli?“ — „Tyś się naszego kamienia dotknął, to jużeś nasz.“ — „A jakże wy mnie mleć będziecie?“ — „Powiedz'no bracie, czy ty karabelę nosisz tylko dla ozdoby?“ — „Czy waćpan ksiądz, żebym mu się spowiadał?“ — „My z tobą w rozprawy językowe wdawać się nie będziem: wstawaj i dobywaj szabli, a reszty się domyślisz.“ — „A kiedy mi dobrze na tym kamieniu. Nie wolelibyście piwka z nami wypić i odczepić się ode mnie, a zmleć kogo z waszych; bo zboże litewskie ususzone i twarde.“ — „Obaczemy!“ odezwał się jeden, „czy twardsze od naszego. Ja jestem marszałkiem koła, ze mną trzeba zaczynać; wstawaj więc bracie.“ — „A kiedy ja się asandzieja boję: wolę p r z e p r o s i ć, niż b i ć s i ę.“ — „Już to zapóźno, bić się musisz; chyba zezwolisz, abyśmy ciebie wypłazowali.“ — „No, kiedyście tacy zawzięci, czy nie masz między wami Łęczycanina jakiego?“ — i zaczął chustką niby łzy z oczu ocierać, dodając: „Oj biedna moja matulo, jakże będziesz płakać po swoim Bartku.“ — Tak ja: „Panowie dobrodzieje, posłuchajcie mnie, jako wiekiem od was starszego. Wszak to w tym samym Lublinie, zrobiła się unija Korony z Litwą: poruszą się zwłoki naddziadów, jak się Litwini z Polakami w témże mieście powadzą. Czyby nie lepiéj na pamiątkę Ludwika, ojca królowéj Jadwigi, a teścia naszego J a g i e ł ł y, wezwać Węgrzynów, aby nas pogodzili. Dajcie pokój temu chłopcu, a pozwólcie, żebym posłał za winem, i was uczęstował w téj gospodzie.“ — Zaczęła mięknąć palestra, i niektórzy odzywali się do marszałka: „Puść z Bogiem tego poczciwego Litwosza; on nie wiedział o prawach naszego młyna.“ Tu się zaczął obawiać pan Bartłomiéj, aby burda na niczém nie spełzła, i siedząc zawsze na kamieniu, odezwał się, drapiąc głowę: „A to waćpan jesteś marszałkiem tego młyna? Winszuję; ale na Litwie mielnicy i wieprze po młynach siedzą, a nie marszałkowie.“ — „Słuchaj bracie gapiu: przez wzgląd na twego poważnego kolegę, całego cię puszczam; ale trzymaj język za zębami, a z żarcikami występuj na takich, jakiś sam.“ — „Nie gniewaj się W. marszałku, nie będę z tobą żartował, tylko serio mówię. A wiesz dla czego wolałbym z biedy potykać się z Łęczycaninem, niż z waćpanem? Bo mówią, że Łęczycanie mają rozum; a oto świadek mój kolega, że kiedym jechał z Litwy do Lublina, cyganka mnie wróżyła, że z rąk wielkiego błazna mam zginąć: to jakem spójrzał na W. marszałka, bardzom się jego przestraszył.“ — Już tu nie było sposobu poradzić. Marszałek ledwo nie pękł ze złości, i dobywszy szabli, z największym impetem na Chodźkę natarł. Ten tylko miał czas za kamień wyskoczyć, dobył swojego smyczka, plunąwszy w rękę, i od pierwszego składu tak dał po łapie, że szabla na ziemię upadła. Obwiązywali marszałkowi rękę, a on nie tyle z bolu, ile z konfuzyi, stał jak wryty. — „A nu,“ odezwał się pan Bartłomiéj — „myślałem, że bić się z koroniaszem wielka filozofia, a tu marszałka oporządzić mniéj trzeba czasu, niżby butelkę odkorkować.“ — „Poczekaj gburze, dam ja tobie“ — zawołał drugi, i z ogromnym pałaszem na niego. Ale ledwo parę razy się złożył, smyczkiem po łbie dostał. Stanął trzeci: „Chciałeś mieć do czynienia z Łęczycaninem, oto masz go tu.“ — Trochę dłużéj trwało, ale i ten

po łbie oberwał. — „A to djabeł, nie Litwin,“ odezwali się koroniasze. „Słuchaj panie bracie, tyś zadrwił z nas: udawałeś gawrona, a tyś rębacz czternastéj próby. Wedle praw naszego młyna, kto trzy razy zwyciężył, wolnym jest od wszelkiéj prepetycyi. Jeżeliś temu rad, ofiarujem ci naszą przyjaźń; jeśli nią gardzisz, chociażeś tęgi, jeden po drugim wszyscy ci służyć będziem.“ — „*Omne trinum perfectum*,“ odezwałem się. „Będzie z waćpana, panie Bartłomieju, a pocałuj się z tymi zacnymi panami.“ — „Zgoda,“ odpowiedział pan Bartłomiéj. „Ja jak mam sobie za zaszczyt, żem się z wami pobawił smyczkiem, tak jeszcze za większy poczytuję waszą przyjaźń.“ Zaczął się z nimi całować, przepraszać tych, co obznaczył, a szczególnie marszałka. Ja, aby ich pocieszyć, powiedziałem: „Niech to panów nie upokarza, żeście nie byli szczęśliwi z moim kolegą, bo to jest pierwszy rębacz na Litwie.“ Jakoż się szczerze pojednali, i odprowadziliśmy do kwatery marszałka, jego samego i kolegów rannych; my piechoto, a ranni na furmance u Żyda najętéj. Palestra fundowała nam hulankę, że dobrze podochoceni wróciliśmy do siebie. Po drodze sztrofowałem trochę pana Bartłomieja, alem go jeszcze więcéj, niż wprzódy, pokochał, bo taki honor prowincyi litewskiéj utrzymał.

Nazajutrz odbywszy się w kościele, poszedłem z panem Bartłomiejem na trybunał, gdzieśmy zastali kilku z tych, cośmy poznali dnia wczorajszego przy kamieniu młyńskim. Oni czekali przybycia członków trybunału, mnóstwo było palestry i pacyentów w ustępnéj sali: było tego więcéj tysiąca, jakem z oka miarkował. Nasi przyjaciele oprowadzali nas wszędzie, wszystko nam tłómacząc.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Bronikowski Alexander.

(*Z Małéj Encyklopedyi polskiéj, wyszłéj w Lesznie* 1839.)

Bronikowski, z ojca Polaka i matki Niemki zrodzony, bardziéj za matczynym poszedł wpływem, i jako pisarz, wyłącznie do niemieckiéj litteratury należy. Przedmioty atoli licznych jego romansów, z polskiéj po większéj części czerpał historyi. Nadało to jakąś indywidualność jego obrazom, i cudzoziemców z polskiemi obeznało stósunkami. Tytuły jego romansów historycznych są: *Mysza wieża, Polska w jedenastym wieku, Kaźimierz Wielki, Hipolit Boratyński, Więzienie Jana Kaźimierza, Elekcya Wiśniowieckiego, Dwór Jana Sobieskiego* i t. p. Widać w tych opisach znajomość faktów i wczytanie się w pamiętniki, zwłaszcza ze zbioru Niemcewicza; ale niewolnicze naśladownictwo Waltera Scotta, a może i brak imaginacyi, przewlekłemi robią jego wieczne dyalogi, bez których obejść się nie umie, a w których jeszcze mało okazuje dowcipu. W tonie nawet tych dyalogów jest coś Polakowi obcego. Niekiedy nawet grzeszy przeciw wyobrażeniom miejscowym, i w błąd wprowadza obcych, których winien był oświecić, mieszając n. p. Rusinów z Rossyanami, przez co w wielkie nawet zagmatwanie wprowadza czytelnika. Najlepszy z wymienionych romansów (przy zbytniéj rozwlekłości) jest bez wątpienia *Boratyński,* wystawiający historyą Barbary Radziwiłłównéj. Był on jednym z wcześniejszych, w których istotnie więcéj autor okazał imaginacyi, aniżeli w następnych. Wydał także Bronikowski *krótki rys historyi polskiéj* w jednym tomiku. Jako prozaista niemiecki, należy on do tych dość licznych dzisiaj pisarzy, co upodobanie mają w długich frazach, z podwójną lub potrójną interkallacyą parentezów; który sposób zaiste, ani uchu, ani łatwemu zrozumieniu niedogadza. Romanse jego prawie wszystkie na język polski przetłumaczone zostały. Umarł Bronikowski przed kilku laty w Dreźnie.

Rozmaitości.

Teatra włoskie.

Pomiędzy przedmiotami, ściągającymi szczególniéj uwagę podróżnych, zajmują we Włoszech *teatra* pierwsze miejsce. Każda mała mieścina szczyci się teatrem; jego wystawienie i utrzymanie należy do największych starań całéj gminy, zakładającéj w tém niemałą chlubę, kiedy się w tym względzie przed innemi odznaczyć może. Okazałość, a szczególniéj obszerność teatralnego gmachu, jest skutkiem powszechnego udziału mieszkańców w widowiskach. Teatr więc jest zwykle na większą liczbę widzów obrachowany, jakby w stósunku ludności mieszkańców wypadało. Ponieważ nadto w większych miastach, jako to: w Neapolu, Medyolanie, Wenecyi, Palermie, Turynie, Genui, Florencyi, wielka opera tylko się w jednym głównym teatrze wystawia, przeto publiczność nie rozprasza się tak, jak po innych stolicach; dla tego też obszerność tych teatrów, do wystawy oper i baletów przeznaczonych, jest zwyczajnie tak ogromna, żeby zginął w niéj głos zwyczajny deklamujący lub recytujący.

Wytworny gust, który włoskie dzieła sztuki zwykle znamionuje, świetnieje szczególnie w przyborze teatru. W każdym włoskim teatrze uderza nasamprzód stósunkowo daleko większa liczba lóż teatralnych, niż u nas, co ztąd pochodzi, że podług przyjętego zwyczaju, damy tylko w lo-



Bronikowski Alexander.

żach pokazywać się mogą, i dla każdéj familii, która się nie chce zupełnie od świata usunąć, posiadanie loży w teatrze należy do potrzeb niezbędnych. Wzorem wszystkich teatrów jest wielki teatr w Medyolanie. Zdumiewamy się, wszedłszy po raz pierwszy do téj olbrzymiéj sali, obejmującéj 4,000 widzów. W owalném półkolu wznosi się 213 lóż, strojnych połyskującemi firankami jedwabnemi, a wybornéj roboty płaskorzeźby, złocone arabeski, napawają oko roskoszą na widok takiego przepychu sztuki. Ale najokazalszy sprawia widok na czterech korynckich filarach wsparty portal sceny, otwierającéj swą niepospolitą szerokością i nadzwyczajną głębokością obszerne pole dla kunsztownych utworów sławnego malarza dekoracyjnego Sanquirico. Okazały z samych czeskich kryształów złożony kandelaber, jak gdyby jaki niezmierny brylant, leje jeszcze światło na ogromną salę i oświeca pyszny plafond, ręką sławnego malarza Vascani malowany, allegorycznemi i mitologicznemi figurami ręki Hayera przyozdobiony. Magiczny sprawia widok rzęsiste oświecenie teatru w czasie jakiéj uroczystości. Goreje wtenczas, prócz zwykłego światła, 1,000 świec jarzęcych, misternie pomiędzy lożami umieszczonych, których blaskiem olśnione zgromadzenie, z zadumieniem zwraca oko na tyle piękności, przed którémi gaśnie nawet cała okazałość sceny. Świątynia ta muz zresztą tak kunsztownie jest zbudowana, że najbardziéj przytłumiony głos ludzki, drgający ton najsłabszego instrumentu, w każdym zakątku sali jak najwyraźniéj się odbija.

Osobliwy gatunek teatrów włoskich składają tak nazwane *teatra dzienne*, które na wzór starożytnego cyrku, amfiteatralnym kształtem są wzniesione. Widzowie zbierają się w nich popołudniu i zwyczajnie pod gołém niebem przypatrują się wystawom. Są one przeznaczone dla najniższéj klassy ludu i obejmują zwykle niezmierne massy, mając zamiast lóż, rzędy stopni (gradinate). Najsławniejsze są w Tryeście, w Mantui i nowo-założony w Genui, wzniesiony z kamienia z otwartemi ścianami i pokryciem, tak, że i do nocnych reprezentacyj z oświeceniem użyty być może. Dzienny teatr w Tryeście zawiera czternaście rzędów siedzeń, na których 3,600 widzów zmieścić się może. Najbardziéj atoli zajmuje uwagę podróżującego starożytny taki teatr w Weronie na wielkiéj Arenie, gdzie widzowie te same zajmują miejsca, które niegdyś przed 2,000 lat na podobnych, częstokroć krwawych widowiskach, ciekawe pospólstwo rzymskie zalegało. Najciekawszy jest widok, kiedy w niedzielę popołudniu nieprzejrzane okiem mnóstwo ludu z rozmaitych klass, w różnobarwnych ubiorach wzniosłe zasiada półkole.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (*Red. J. Łukaszewicz.*)